



GABRIELA ZAPOLSKA

Małpa

GABRIELA ZAPOLSKA

MENAŻERIA LUDZKA

Małpa

Że Olka była małpą w całym tego słowa znaczeniu, o tym wiedziało nie tylko całe Żółkiewskie, ale nawet i het daleko aż poza rogatkami znano jej rudy, wiecznie rozczochrany warkocz i kaftanik w kratki, wydarty na łokciach, a aksamitem u szyi ubrany.

Szczególniej wieczorami o zmroku — pełno jej było po wąskich uliczkach przedmieścia.

Wiadomo było, po co się po cieniu ślania, od czasu do czasu tylko pod latarnię podchodząc; dzieci małe znały ją nawet i palcem wskazywały, mówiąc z przedwcześnie rozwiniętą złośliwością:

— Małpa! Idzie małpa!...

Ona wygrażała im tłustą czerwoną pięścią i rzucała gradem łupin od orzechów, których miała zawsze pełne kieszenie.

Urodzona na przedmieściu, wychowana w cieniu kamienic, córka stróża, gnieźdźącego się w zatęchłej suterynie¹, podlotkiem² zaledwie uciekła, pozostawiając poza sobą ojca, młodszego brata, wiecznie zamorusanego Wicka i kij, którym ojciec zwykł był dzieciom na dobranoc kości łamać. Nie był to jednak zły człowiek, pracowity, przeważnie trzeźwy i zupełnie uczciwy. Ucieczkę córki odcierpiał ciężko i do samego zgonu, widząc ćmy nocne, czerniące się w głębi wąskich uliczek, dławił się z wściekłości na samą myśl o losie Olki.

Ona przeniosła się w inne strony miasta i tam, wiążąc zatuszczone wstążki na głowę, z szelestem świeżo wykrochmalonych spódnic spadała na ulicę o szarym zmroku, razem z całym stadem szarańczy po kątach ciemnych czatującej.

Znały ją stawy Pełczyńskie i szumiące dokoła nich brzozy, zna ją Węgliński Lasek, cały w zieleń aksamitu spowity — powoli całe terytorium miasta, na wschód się pchającego, Olka zajęła w swe posiadanie, prezentując wszędzie swą twarz płaską, ospą znaczoną i z nosem zadartym, z wargami mięsistymi, w obramowaniu ostro najeżonych włosów o rudawym niepewnym połysku.

Lecz dziewczyna ta wiecznie tęskniła za swą kolebką, za tym Żółkiewskiem, które bieleje jasną szeroką strugą głównej ulicy i rozlewa się potem w drobne, małe, ciemne zaułki pomiędzy domami zapchanymi żydowstwem płynące.

Olka miała nostalgię tych wielkich kamienic, rozweselonych purpurową barwą pierzyn z ganków i z okien zwieszonych, tych dziedzińców nagle, brutalnie roztwierających się na zielony plac musztry, lub cały szereg fortyfikacji, w mgłę błękitną spowitych. Tęskniła za gwizdem pociągów, przelatujących wesoło po nasypie żółcącym się w oddali, pragnęła odetchnąć wonią kasztanów, płynącą z bukietu drzew Ogrodu Inwalidów, spośród których wystrzelał w górę biały, czysty gmach o harmonijnie pięknych liniach.

Pod drzewami tymi Olka przespiała nieraz całe popołudnia, gdy zamiast iść do szkoły wolała podchodzić pod łokcie przechodniów i skomlać wyżebrać parę centów. Najadłszy się owoców lub pierników, cała zamorusana rzucała się w trawę tuż około fontanny, z której płynął wąski srebrny bicz wody.

Dziewczyna zasypiała zaciskając mocno powieki, cała czerwona, zdenerwowana, podniecona beczynnością i dniem upalnym.

¹suteryna (z fr.) — mieszkanie w kondygnacji poniżej parteru. [przypis edytorski]

²podlotek — dorastająca dziewczyna. [przypis edytorski]

Usta jej szemrały słowa bez związku, ręce otwierały się kurczowo.

A tymczasem kasztany szumiały, ciało jej, przeświecające przez łachmany spódnic, wachlując swymi szerokimi liśćmi, przez które spływało słoneczne światło, wielkimi zielonymi plamami się znacząc.

Olka chwile te pamiętała dokładnie.

Gdy po nocy spędzonej w knajpie, z głową ciężką i ustami spieczonymi wracała do swej nory, cieplejszy powiew wiatru budził w niej myśl jedną.

A gdyby tak wrócić na Żółkiewskie!

Ba — lecz ojciec!

Ojca bała się jak ognia.

Wiedziała, iż szukać jej nie będzie, lecz — gdyby mu pod oczy podlaża!...

Snula się więc znów po „Rurach”, omijając starannie czerniącą się sylwetkę policjanta.

Czasem przemknął się koło niej terminator³ bosi, obdarty, zasmolony.

Podskoczył, gwizdnął i zajął w oczy rozczochranej dziewczynie, mknącej wzdłuż kamienic.

Czasem, gdy już był po śniadaniu, zaskrzeczał przeraźliwym głosem:

Spadła małpa z pudła,

Stłukła sobie łeb.

Ona szła dalej z głową opuszczoną na piersi, plując śliny, które jej napływały wciąż do ust — prześladowana jedną i tą samą myślą:

A gdyby tak wrócić na Żółkiewskie!

I wróciła!

Wróciła po śmierci ojca, ukradkiem, po ciemku dziedziniec i znajome bramy obcho-
dząc...

Tak! Tak! Nic się nie zmieniło!

Te same rynny, pod którymi w deszcz roztargany swój łeb moczyła, włosami poplą-
tanymi kamienie zamiatając.

Tu — koło tego mostku, cała gromada jej przyjaciół robiła groble z piasku i kamieni,
tamując odpływ kolorowej wody, którą farbciarz całymi cebrami nieraz wylewał.

Tu — Wicek, pierwszy raz przez nią namówiony, ukradł makagigę⁴ starej, może stu-
letniej Żydówce, która drzemała nad deską pełną łakoci w cieniu oddrzwi bramy.

A tu — tatlo nieboszczyk kazał jej polewaczki wody z dziedzińca sobie znosić i po-
dawać. Nie było to rozkoszne, owe dźwiganie ciężkich konewek w skwarne popołudnie,
tym bardziej iż tatlo ręki nie żałował, gdy się nie pośpieszyła.

Dźwigała też, dźwigała, przechylona na lewy bok z ręką wygiętą, moczając spódnice,
plącząc się jej wzdłuż nóg chudych i nie rozwiniętych; tatlo tymczasem wodą ulicę po-
lewał, rysując esy floresy na szarych, półokrągłych grzbietach kamieni. Życie było ciężkie
— prawda!... choć i teraz!... — pożał się Boże!... ot!..

Olka stała teraz przed kamienicą, w której wraz z tatlem i Wickiem tyle lat spędziła,
i pochyliwszy się, do okienka suteryny zaglądać zaczęła. Inni ludzie tam mieszkali, inna
pościel, inne łóżko stało już w kącie, którego ściany na wpół pleśnią były zasnuty.

Świeczka „centówka”, oprawna w blaszany lichtarz, słabo ćmiła się na stole, do połowy
garnkami zastawionym.

Koło komina kręciła się mała dziewczyna, bosa, podkasana, z długim a cienkim war-
koczem, spadającym na wypukłe plecy.

W kolebce koło łóżka — dzieciak z brudnych łachmanów kostropatą głowę wyty-
kał i wyciągał rękę, w której tkwiła drewniana łyżka, obmazana resztką przyschniętych
kartofli.

Olka teraz już zupełnie do ziemi przysiadła — a obie ręce o bruk wsparłszy, ciągle
w okno suteryny patrzyła.

³terminator — rzemieślnik uczący się u majstra. [przypis edytorski]

⁴makagiga — ciastko z karmelu, miodu i maku. [przypis edytorski]

Tak! Tak!... Ta dziewczyna rozczochrana, włócząca swe bosc nogi po ubitej ziemi izby — to ona, ona sama lat temu piętnaście!

A ten chłopak z kołyski łeb wytykający, toć to czysty Wicek, który krzykiem swym zdawało się nieraz, iż mury rozsadzi.

Biła go za to po łbie, po pysku — ile się zmieściło, a czasem znów porywała go i do piersi cisnąć zaczynała z rozrzewnieniem nagłym.

Sieroty bo oboje byli... sieroty bez matki, która zmarła w szpitalu bez uczciwego nawet pochówku na zaraźliwe choróbko, co się w suterynach na Żółkiewskim rozpanoszyło.

Olka — w dziecko ruszające się wśród łachmanów wpatrywała się upornie, jakby przykuta widokiem tej małej głowy, pokrytej sierścią jasnych włosów. Dzieciak w kołysce się gmerał i łyżką o brzeg kołyski uderzał.

Olka dzieciństwo swe całe, z nędzą i troską, przed oczami miała teraz, objęte w ciasną ramę zaledwie przymkniętego okienka.

Z wnętrza suteryn płynął ku niej chłód piwniczny z wyziewami ciała ludzkiego i gnijących odpadków połączony.

Ona chłonęła w siebie to powietrze, w którym wzrosła, cała prawie pijana wonią nędzy brutalnie z wnętrza ziemi się wydzierającej.

Razem z tą wonią budziło się w niej wspomnienie tatli, Wicka...

Ulicznica kurczyła się przy ziemi, chcąc zniknąć prawie, wkopać się pod suterynę i znaleźć się nagle na środku tej izby, z której uciekała cichaczem, w nocy, na rozpusztę pomiędzy „kanonierów” się przebijając.

W naprężeniu nerwowym, w jakim była, zaczęła nagle majaczyć; zdawało jej się teraz, że Wicek chce wyleźć z kołyski, a ona uspokaja go i leżeć mu każe.

— Leż, hyclu, robaku, sieroto! Bo cię uśmiercę!...

Nagle poczuła się kopnięta silną, męską nogą, w gruby but zbrojną.

— Ha, frajła! *Wie gebts*⁵? — zaśmiał się rozbawiony żołnierz, błyskający w świetle latami rzędem złotych guzików — chodź panna z nami, wypijemy *paar snaps zum an-denken*⁶!

Olka ocknęła się z zadumy i porwała się z ziemi.

— *Gut, Herr Leitnant*⁷! — wyrzekła, rzędem białych zębów błyskając — ja na to, jak na lato!

— *Fesches Mäderl*⁸...

Poklepał ją po ramieniu i oboje powlekli się w stronę szynku, z którego dobywały się ostre, zawrotne tony katarynki.

Spotkała się pierwszy raz z Wickiem nagle na zakręcie Piaskowej uliczki.

Poznała go od razu, choć urosł i zmienił się dla obcych ludzi.

Ona jednak — siostra, poznała w nim brata, którego biła i kołysała, targała za włosy lub tuliła, mruczając uliczne piosenki.

Szedł ubrany przyzwocie, w wysokiej czapce z daszkiem, w długim surducie i w butach dobrze wyszuwawkowanych.

W ręku pod chusteczką niósł kilka świeżo zerwanych róż, a pod pachą dużą harmonię; niebieski krawat, związany w kokardę, podnosił świeżość jego cery.

Chłopiec to był dobrze odżywiony, silny, jeszcze pracą ani rozpustą nie zniszczony.

Stolarzem bo był — i to już czeladnikiem, a wiadomo, stolarka to praca na bożym powietrzu i najczęściej pod gołym niebem, więc soków z krwi nie wyciąga i płucem rozróżać się pozwala...

Dziś Wicek szedł w zaloty do córki Jana Burby, także stolarza, który za panną Kazią daje trzysta papierków, a po śmierci warsztat cały na zięcia przeleje.

⁵*wie gebts!* (niem.) — jak idzie? a. co słyhać? [przypis edytorski]

⁶*paar snaps zum andenken!* (niem.) — właśc.: *paar Schnaps zum Andenken*, tj. kilka kieliszków wódki na pamiątkę. [przypis edytorski]

⁷*Gut, Herr Leitnant* (niem.) — właśc.: Leutnant; Dobrze, panie poruczniku. [przypis edytorski]

⁸*fesches Mäderl* (niem.) — szykowna dziewczyna. [przypis edytorski]

Wicek ma wszelkie szanse dostania stolarzówny, bo ojciec przyjmuje i jego, i harmonię łaskawie w niedzielne popołudnie, a Kazia czerwieni się jak burak i firanki siatkowe u okien „szalonu” niemiłosiernie skręca.

Wicek idzie więc — przez Piaskowy zaułek, pogwizdując lekko. Szary, bo już zapada zmrok z pogodnego nieba, nieszpór skończony. Pani majstrowa kawę z babką na czerwonej serwecie zastawia. Śpieszyć się trzeba, bo panna Kazia pewnie już przy oknie stoi i przez siatkę firanki patrzy a czeka...

Z małych okienek zaułka tu i owdzie błyskają światełka, na progach domów bawią się dzieci, na środku ulicy mały piesek w piasku się kręci.

Nagle Wicek czuje się pociągniętym nieśmiało za rękaw.

Ogląda się.

Obok niego, kryjąc twarz dłonią, stoi tęga, wysoka dziewczyna w kratkowanym kaftaniku i w spódnicy z falbanami.

Wicek odpycha ją łokciem.

— Poszła, ma!po!...

Lecz ona nie ustępuje.

Trzyma go mocno za rękaw surduta.

— Wicek... taże spojrzuj! To ja!...

Chłopak szeroko oczy otwiera.

— Olka!

I purpura oblewa twarz młodą wesołego i zdrowego chłopca.

Słyszał często o siostrze, lecz powoli zaczęła być dlań po prostu mityczną postacią. Wiedział, że się „puściła” — ale co robi, jak wygląda, czy jeszcze istnieje — nie przeszło mu to nawet po głowie.

Nagle zjawia się żywa, zdrowa, hańbą okryta, niosąca na swym czole widmo jawnej rozpusty, tolerowanej swawoli.

Pragnie się od niej odczepić za jakąkolwiek cenę, drząc, aby go z dworku Burbów nie zobaczyli z „ładacznicą”, rozmawiającego pośrodku ulicy.

Wyrywa jej rękaw i uciekać szybko zaczyna, nie oglądając się nawet poza siebie.

Olka stoi jak przykuta na środku ulicy, nie śmiejąc gonić niknącego w cieniu brata. U stóp jej mały piesek szczeka teraz groźnie, poszczuty przez dzieci, które z przekorną ciekawością przypatrują się ulicznej włóczędze, w zmroku się slaniającej.

Czatowała na niego teraz po nocy pod parkanami, gdy wracał z roboty lub od Burbów, z czapką przechyloną na bakier i miną junacką rozwiniętego prawidłowo mężczyzny.

Nieraz przechodził mimo⁹ niej, nie widząc wśród stosu desek przyczajonej postaci, która śledziła go smutnym, przygasłym wzrokiem.

Nie spotykając siostry na drodze, uspokoił się powoli.

Wiedział, że jest na przedmieściu i krąży po szynkach, lecz do niego nie zbliża się już więcej, pewnie dumą zdjęta.

I myśląc o niej czuł jakąś litość nad jej osamotnieniem, litość, do której przyznać się sam przed sobą wstydził, cały przejęty pogardą dla rozpusty ulicznej, dla sprzedaży ciała i targu o miłosną pieszczotę.

Ona tymczasem gryzła się i trula tą pogardą brata i jego ucieczką, w chwili gdy w niej serce kołatało jak dzwon i piersi mało nie rozsadziło...

Wiedziała, że była bardzo nędzną istotą, lecz on, brat jej — powinien mieć dla niej więcej pobbłazania aniżeli inni.

Nieraz w szynku biła pięściami w stół krzycząc, iż dożyje chwili, w której ci, co jej znać nie chcą, do nóg upadną!... lub kulakiem groziła w stronę miasta spowitego w ciszę, jakby zaprzysięgając zemstę tym, którzy ją pierwsi w kał ten wepchnęli.

Powoli jednak myśli jej zaczęły przybierać jakieś wyraźniejsze kształty.

Wicek się od niej odwraca, bo jest biedna i obszarpana.

Gdyby miała dobrze nabity worek, kto wie, co by było!...

⁹mimo (daw.) — obok. [przypis edytorski]

I od tej chwili zrobiła się chciwą, wyrachowaną, ceniąc każdą chwilę, ślaniając się ze znużenia, lecz licząc oszczędzane pieniądze.

Wicek tymczasem dzień ślubu przyśpieszył i w kościele Panny Marii Śnieżnej, wypomadowany, wyświeżony, wieczną „uczciwość małżeńską” — spoconej i ściśniętej gorsetem Kazi zaprzysiął.

W wilię¹⁰ jednak ślubu, gdy po raz ostatni do swego kawalerskiego mieszkania wracał, rozmarzony libacjami swych przyjaciół i towarzyszy, potknął się o jakąś masę do desek przytuloną.

— Ki diabeł?

Olka głos brata poznała, lecz drżąc cała, nie odpowiadała nic.

On pochylił się nad nią, sądząc, że to ktoś zemdlony.

— Któż to?

Dziewczyna zebrała się na odwagę.

— Ja... Olka!...

Krew uderzyła do głowy Wickowi.

— Czego ty się tu przywłóczysz? — zasyczał wściekły i groźny — czego?

Ona dźwignęła się na klęczki i za rękę go pochwycić pragnęła.

— Wicek!... ta my rodzeni!

— Nijaki ja tobie rodzony, mało jedna!

Popchnął ją silnie, aż głową o parkan uderzyła.

— Ta za co ty mnie walisz? Wicek, za co?

— Za twoje łajdactwo!

— Ta cóż robić?... kiedy już tak jest? Teraz już nikt tego nie odmieni!

Milczeli chwilę oboje.

Wiatr drzewami za parkanem kołysał.

Latarnia naftowa, na słupach za pomocą sznura zawieszona, pośrodku uliczki się chwiała, cała żółta, smutna, jakby mgłą przysłonięta.

— Ty się jutro żenisz? — zapytała wreszcie dziewczyna.

— Żenię, a bo co?

— Nic!... daj ci Boże jak najlepiej!

Przekleństwo uwięzło w gardle Wicka.

— A w którym ty kościele ślub będziesz brał?

Wicek ramionami wzruszył.

— U Śnieżnej... ale co ci do tego, ty mi czasem do kościoła nie przychodź! Słyszysz?

Dziewczyna głowę podniosła.

— Bo to... widzisz Wicek, ja sobie pieniędzy trochę złożyłam — zaczęła prędko — mogłabym porządną jaką kieckę przywdziać i wstydu byś ty nie miał!

Wicek cały się wstrząsnął.

— Nie o kieckę tu chodzi — krzyknął — ale o ciebie samą, słyszysz!

Głowa ulicznicy pochyliła się jeszcze niżej.

— Słyszę, Wicku, słyszę!...

Pokora drgała wielka w jej głosie.

Małą i nędzną zdawała się, klęcząc tak u stóp brata, do desek parkanu przytulona.

Wicek chwilę stał niezdecydowany, czując znów litość budzącą się w sercu.

— Bądź zdrowa! — wyrzekł nieco łagodniejszym głosem i odwróciwszy się szybko iść zaczął.

Lecz ona wyciągnęła ręce i powlekła się za nim na środek ulicy, w żółtą strugę światła z latarni płynącego.

— Wicku!

Chłopiec stanął.

— Co?

— Kiedy ty nie chcesz mnie na ślubie mieć... — podjęła gorączkowo — to choć ty mi jedną łaskę zrób! Niewiele ja pieniędzy mam, ale to, co jest!... weź!... zda ci się na jutro!... weź!...

Ręce wyciągnięte trzymała wciąż, błagalną linią wśród światła się znacząc.

¹⁰w wilię (daw.) — w przeddzień. [przypis edytorski]

Wicek uczuł w piersiach dziwne ściśnienie.
— Nie! — odpowiedział — nie... pieniędzy twoich nie chcę!
Ona targnęła się, jakby uderzona biczem.
— A!... tak!... masz *recht!*¹¹... łajdackie pieniądze...
Lecz w nim, w tym brutalnym chłopie, zbudził się cień delikatności.
— Nie, nie dlatego! — odparł szybko — lecz ja mam dosyć, schowaj je dla siebie!
Ona uśmiechnęła się teraz radośnie.
— Schowam je dla... ciebie, Wicek!
On, oddalając się i malejąc coraz więcej w przestrzeni, powtórzył prawie bezwiednie:
— Schowaj, Olka!

Trzy lata upłynęło, a Olka ciągle włóczyła się po przedmieściu, zdobywszy sobie powoli nawet sympatię ogółu.

Nazywano ją ogólnym mianem „małpy” — lecz że zachowywała się względnie przyzwoiciej, „grajzlerówki”¹² mówiły o niej:

— Choć małpa, ale porządna dziewczyna!

Zaokrągliła się, wypełniała i tylko twarz miała niezdrową bladość strawionej bezsennością i trunkami kobiety.

Ręce jej drżały, a oczy często mgła zasłaniała.

Zrobiła się dumną i nieraz w szynku chwaliła się „uczciwą” rodziną, z której pochodziła.

Pieniądze Wicka chowała święcie i od czasu do czasu drogę bratu zabiegała, zapytując, czy oddać ma złożone w kącie swej izby papierki?

On, według usposobienia, usuwał ją przekleństwem lub dobrym słowem, cały teraz przejęty ważnością swego stanowiska — ważnością zięcia Burby, który choć w grosze nie tak bardzo zasobny, cieszył się poważaniem całego cechu stolarzy.

Olka nie podchodziła nigdy w stronę ulicy Piaskowej, gdzie teraz mieszkał Wicek wraz z żoną i teściem.

Znów spotykała go ukradkiem, czyhając nieraz miesiącami całymi, zanim go w bramie lub jakim przejściu spotkała.

Powoli dowiedziała się z boku, że trzysta papierków posagu Wickowej były bajką i tylko przynętą na lep dla złapania męża.

Wicek więc pracował teraz na troje, bo stary Burba, odpoczywając na respekcie ludzkim, hebla się więcej nie imał¹³, na zięcia się oglądając.

Nareszcie Wickowa, chodząca w ciąży — porodziła córkę, lecz ciężko zaniemogła i akuszerka doktorów wezwać kazała.

Zaczęły się ciężkie dni we dworku na Piaskowej ulicy.

Olka wszelkimi siłami teraz brata spotkać chciała.

Wychodził często, biegał bez pamięci do aptek, do doktorów, ale po ludnych ulicach i w dzień, kiedy ona po świetle doń przystępu mieć nie mogła.

Nareszcie Kazia podniosła się z łóżka i do sił wracać poczęła, dziecko chowało się zdrowo, Wicek odetchnął i roboty się chwycił.

Czas bo był niemały.

Wszystkie zasoby wyczerpały się i poszły na lekarstwa i doktorów.

Dziecko chrztu się domagało.

Znajomi o sute chrzciny się domawiali, stary Burba pragnął ludzi fetą zadziwić i zły stan swoich interesów w ten sposób ozłocić.

Pieniądzy ani centa nie było.

Wicek nie sypiał nocami, drażniony przez teścia, przez żonę, która także chciała sąsiadkom proch w oczy rzucić i dać im powód do zazdrości najmniej na tydzień.

Nareszcie w bramie domu, gdzie Wicek blejtramy zamówione odnosił, spotkała go Olka, zmęczona dnia tego czatowaniem na brata od samego świtu.

¹¹ *masz recht!*... (z niem.) — masz rację. [przypis edytorski]

¹² *grajzlerówka* (z niem.) — ekspedientka w małym sklepie spożywczym. [przypis edytorski]

¹³ *imać* (daw.) — chytać. [przypis edytorski]

— Wicek — szepnęła, w kąt bramy go pociągając — powiedzże, co się tam u was dzieje?

On oparł się o ścianę, znękany, przybity walką o byt.

— A cóż ma być. Córkę mam!

Olka ręce na piersiach złożyła.

— Córkę?

— A jakże!

— Ładna?

— E!... czerwona jak rak... Gadają, że ładna!

— Do ciebie podobna?

— Albo ja wiem?

— Ale przecieć!...

Badała go gorączkowo, cała podniecona tą myślą o noworodku, o dziecku śpiącym w białych pieluszkach we wnętrzu kołyski.

— Najgorsze... że chrzciny wyprawić trza — podjął Wicek — a ja...

Urwał nagle, przypomniawszy sobie, do kogo mówi.

Lecz Olka podchwyciła jego słowa i porwawszy go za ręce, gorąco prosić zaczęła:

— Taże ja właśnie o to za tobą łażę... weźże ty ode mnie te *swoje* pieniądze, bo jeszcze mi je jaka psiakrew ukradnie.

On bronił się miękko:

— Nie mogę, Olka, nie mogę!...

Lecz kobieta nacierała coraz gwałtowniej.

— Taże to są twoje pieniądze! Twoje rodzone, schować mi je kazałeś...

— Bogać tam!

— Ale tak! tak! sprawiedliwie... nie pamiętasz jeno!

Zza pazuchy wyjęła szmatę, w której szeleściło kilkadziesiąt papierków.

— Ja je mam przy sobie już od tygodnia, lecz nigdzie cię dopaść nie mogłam! Masz, na chrzciny ci starczy!...

On odsuwał się jeszcze, cały zmieszany myślą dotknięcia się w ten sposób zarobionych pieniędzy.

Lecz kobieta instynktem odczuła myśl brata.

— Weź, Wicek, weź!... To pieniądze z uczciwego zarobku! Jak Boga kocham. Koszule po nocach szyłam!... weź... to nie z „tego”!...

Kłamała, cała potem oblana, pełna wysiłku nerwowego.

Wreszcie udało jej się pieniądze w rękę brata wcisnąć.

— A! Nareszcie!

Odetchnęła pełną piersią, jakby się ciężaru zbyła.

Lecz on stał przybity i upokorzony, ściskając w rękę szmatę z pieniędzmi.

Czuł, iż biorąc od Olki pieniądze, czyni krok pojednawczy i że powinien siostrę, przychodzącą mu z pomocą, na owe chrzciny zaprosić.

— Olka!... może by ty... — wykrztusił wreszcie przez nerwowo ściśnięte gardło — może by... ty... przyszła...

Lecz ona otworzyła szeroko oczy.

To, co zdawało się jej naturalnym lat temu kilka, teraz wydało się jej po prostu... potwornym. Przygryzła drżące usta i ręce kurczowo dokoła szyi zacisnęła.

— Dziękuję ci, Wicek!... nie przyjdę!... — a widząc niepokój drgający na twarzy brata, dodała stanowczo:

— Przyjść nie mogę... nie mam uczciwej kiecki.

Chrzciny wnuczki Burby sute były i wspaniałe.

W wieczór majowy, przy na wpół otwartych okienkach weselili się dobrani goście naokoło dobrze zastawionych stołów.

Była więc cielęcina z czerwoną kapustą, kotlety z sosem pikantnym, kawa, babka i tort z cytryną nowo narodzonej.

Kazia blada, lecz zdrowa, kręciła się pomiędzy gośćmi, wesoła, uśmiechnięta, pełna macierzyńskiego wdzięku.

Wicek, trochę chmurny, dolewał gościom wina, rozsypywał po kolanach kobiet bakalie z jakąś dziwną rozrzutnością, jakby chcąc cały ten częstunek jak najprędzej załatwić.

Pod okna oświetlone ściągali ci i owi, aby się owemu traktamentowi¹⁴ przyjrzeć, lecz powoli pustoszało dokoła dworku, ludzie wracali do swych legowisk i do snu się kładli.

W cieniu spowite jaśminy ogródka całe kłęby woni w wilgotną noc wyrzucały, szumiąc z lekka.

Z daleka majaczyły naftowe latarnie ubogie i smutne wśród dzikiego bzu zawieszzone. Pod parkanami mknął biały kot, czając się i odskakując co chwila.

Z dworku Burby dolatywały głosy harmonijki, grał na niej Wicek, siedzący teraz na stole, z którego na wpeł ściągnięty obrus opadał na ziemię. Dokoła niego kręciło się kilka par w takt polki, a stary Burba z dzbanka szklanego piwo do szklanek dolewał.

Na oknach ledwo przymkniętych powiewały muslinowe firanki.

Pod jednym z nich, wychodzącym na ogród, siedziała Kazia, trzymająca w poduszce kokardami upstrzone dziecko.

Matka patrzyła na tańczących machinalnie, poruszając poduszką, z której długa, lekka spadała sukienka.

Nagle zdawało się jej, że ktoś za oknem westchnął. Nie poruszyła się nawet, pogrążona w słodkiej ekstazie na widok tak dobrze bawiących się gości.

Tymczasem za oknem, uczepiona prawie o ramę, stała Olka, z oczyma szeroko rozwartymi, z których dwie strugi płynęły.

Wiatr, wiewając muslinową zasłoną, ukazywał jej wewnątrz wesołej, widnej izby, napelnionej rozbawionymi ludźmi.

Dźwięki harmonijki serce jej szarpały na strzępy — z piersi wydzierano się westchnienie, w jęk prawie psi przechodzące.

Widok brata, żyjącego pomiędzy inną sferą ludzi, inną niż ona — wyklęta i wydziedziczona, napelniał ją dojmującym bólem, a drobna główka dziecka w tiule i musliny spowitego, zbudziła w niej samiecę.

Wyciągnęła rękę z jękiem ku tej drobnej istocie, której stóp nawet ucałować nie miała prawa.

Westchnęła!

Od okna porwała się Kazia i szybko podjęła firankę.

Olka nie zdążyła się cofnąć, bratowa przeszła ją oczami.

— Wicek! — zawołała — Wicek, a pójdź tu ino!

Mąż zlął ze stołu i nie przestając grać, do okna poszedł.

— Co chcesz? — zapytał.

— Odpędź no jakąś małpę, co się pod oknami ślania!

Przytrzymując dziecko prawą ręką, lewą odkręciła rygiel i otworzywszy na oścież okno, miejsca mężowi ustąpiła.

On, grając ciągle, bokiem przez parapet się przechylił i wśród smugi światła dojrzał w oddaleniu bladą i splakaną twarz siostry.

Przez chwilę milczał, grając machinalnie polkę, nie mogąc słów znaleźć dla oddalenia tej, za której pieniądze zdołał ochrzcić swe dziecko i uraczyć gości.

Żona tymczasem ciągnęła go za surdut.

— Zamknij okno, dziecko się zaziębi!

Teraz on przechylił się jeszcze silniej i niskim, wzruszonym głosem rzucił:

— Odejdź... siostro!...

Ona wyciągnęła ku niemu ręce drżące, jakby rzucając pocałunek i odwróciwszy się wolno, odeszła w głąb ciemnej ulicy, po której kłęby woni jaśminów płynęły.

Siostra, Kobieta "upadła"

¹⁴traktament (z łac.) — poczęstunek. [przypis edytorski]

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/menazeria-ludzka-malpa>

Tekst opracowany na podstawie: Gabriela Zapolska, *Nowele*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1958.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Patricia Mangual@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do **Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.